

Próby metafizyczne

Pociąg wjeżdża sznurem, szumi most torowiskiem. Niebo zamknięte szkielet-chmurami, za nimi sine ożywa w różowe. Białe kitle oglądały radiogram, moje lśniąco żebra. Terkoczą szyny, drży beton, *vibrato*. Uranos mruga ptasimi skrzydłami, patrzy, płyną ciepłe cumulusy. Widziałam: za białymi kośćmi, mgłami moje wnętrzości.

Chciałam opuścić pole widzenia tych niebieskich oczu, ale chłodne we mnie przestrzenie, nie znalazłam krwi, aby z nią wypłynąć.

Wątle ramiona ubrałam w szerokie ramiona płaszczka, suptłem jak prezent związałam swoją wąską talię i ruszyłam trójkątna przez niespokojną taflę chodnika. Porozbijane płytki, pęknięcia i kanty – nie daj się nastraszyć. Pani staruszka idzie przede mną, lewa prawa, wahadło zegara – *memento mori*. Plastikowa siatka obija się od pomarszczonych rajstop, rajstopy zasłaniają fioletowe fajerwerki żyłek na białej zimowej skórze. Zwinnie powinnam wyprzedzić, ale za to zwalniam, sunę za nią jak żagiel, dręczy mnie sumienie, bo ona nie jest zwinna. Ja ambalaż, ona ambalaż, nikt nie odpakuje nas do naszej bezradności.

Kołtuny wełnianego koca, warkocze spływają paproci. Gładka biała ściana zamyka mnie w ramionach domu, tworzy wokół mnie wnętrze w tym świecie bezmiaru, jestem taka wdzięczna. Wychyłam się przez okno, patrzę daleko: horyzont daje złudzenie końca, ale groźba nieskończoności nad nami wisi, nie patrz jej w twarz, przepadniesz. Zsuwam się z parapetu, tu nie muszę nigdzie iść, wiatr mnie donikąd nie pcha. Kładę dłonie na płaskiej białej ścianie, nie takiej gładkiej, wzrok wciąż oszukuje, potwierdzaj innymi zmysłami. Odwracam się plecami, wbijam w nią po kolei kręgi kręgosłupa, czytałam, to przywraca równowagę, odnajdź kręgosłup, on się boi najmniej. Już przestań z tą powagą, mówi kanapa, uśmiecha się, taka wypukła nieszczupła, no chodź, poprzytulamy się. Wpadam w miękkie poduchy jak w kąpiel, pozwalam rozluźnić się mięśniom, w ciele coraz ciszej i pachną racuchy, choć kiedy to było i na twarzy warkocze, choć i to nieprawda. Odważam się na bezbronność, jestem tak zmęczona. Wchodzę w swoją arkę i dryfuję po oceanach, czy wy nie widzicie, jak tu nakapało, w waszych oczach fale się nie rozbijają. A przecież ja wiem, pod nami ta potężna woda, chciałabym być czymś więcej niż lękiem przed.

Słyszę jak ludzie człapią po ulicy, czy nie mogą, na Boga, podnosić tych nóg, zamiast tak szurać bezlitośnie. Niech się to miasto uciszy, myśli mi spłoszone uciekają, zbyt głośna ich obecność, moja się ze mnie wycofuje. Chocholy. Łapiemy się wszyscy za ręce, tak mocno mnie ściskają, wypływają ze mnie soki, czuję na sobie łapczywe języki. Tańczuchem idziemy, nie widzę gdzie, wszędzie tylko zaśnieżone góry i muzyka gwizdże między szczytami. Marsz tańczymy, czuję w ciele rozkaz, a inni więźniów w sobie się nie domyślają, nie wiem, czy ja śnię, czy oni. Dostrzegam na przedzie ciemny kaptur przewodnika, pamiętam w tym kapturze pustą trupa twarz. A przecież dziećmi gwiazd jesteście, z ich popiołów jak kwiaty wyrosliśmy z ziemi.

Przytulam skórę policzka białą do bielszej ramienia, miękka, gładka, nie wiem, która z nich jaka. Ja bym tylko chciała poczuć cielesność świata i uwierzyć w tę drobną cząstkę nas, która nie jest próżnią. Tymczasem długi brzeg parapetu i tęsknię za książkami, których nigdy na nim nie było, i za Nim wiecznym, który tak groźnie się przede mną ukrywa. Na szybko prostą geometrię rysuje się ściana sąsiedniej kamienicy: dwa boki dłuższe równoległe i krótsze równoległe do siebie, do dłuższych prostopadłe. Ukojenie przynoszą te cztery kąty proste, jakie nieładne te wszystkie w mojej głowie supły. Dwa charty spokojnie wchodzą na czterech smukłych łapach w kwadratowe światło bramy, bujają się im tby na wystających karkach, liczę kręgi nieruchomych kręgosłupów, podziwiam szczupłość talii, aristokratyczne ruchy. Siedzę między czterema ścianami ich nagością skundlona.

Czasem trzeba wyjechać, mówię i ja mówię, ale czy da się wyjechać, kiedy Ziemia okrągała, kula u naszych nóg. Jednak spróbujmy, bo ściany z miłych na wrogie zmieniają spojrzenia, za bardzo tam jestem, za bardzo tam ja, gdzieś się trzeba rozrzedzić.

Więc już nie w ścianę i nie w swoje kości patrzę, odstawiam ciężar nerek, pulsu nie nasfuchuję. Mróz szczypie policzki, śnieg świeci nie swoim światłem, zanurzam w niego palce, zdaje się prawdziwy. Zmrożone stożki sosen stoją przede mną ciasno i sztywno, rzędem jak wojsko. Niskie słońce oświetla chropowate pnie drzew, mają stare twarze, korony szumią w wysokiej ciemności jak duchy. Mgła coraz gęstsza, kto to mleko na świat rozlał, podchodzi mi już pod buty. Horyzont zakryty, nie widzę, gdzie się nasze światy spotykają, a tak chciałam w niebie swój dom rozpoznać. Kosmiczne czuję odrzucenie, gdzie ta boska we wszechświecie obecność, na jakich częstotliwościach szepcze swoje obietnice, że ich nie mogę usłyszeć. Zawiał wiatr w szczecinie traw, bujają się, łaskoczą mi wzrok. Chłodne ostre źdźbła, butelkowa ich zieleń, i teraz widzę porozbijane szkło nie trawę, wszystko, co w życiu wypitałam, nie zapomnij tego, wszystko tu zebrane, łką szklanych ostrzy sobie usypałaś. Chrzęści pod butami, kaleczy mi uszy, czemu wciąż mnie karci.

Złoto w ogniu się próbuję, czy mogę tak o sobie myśleć, czuję raczej chłód, boję się, że serce na kamień nie złoto twardnieje. Oddaj, co masz, pozbądź się przywiązań, mówię, nie mam, ale czy na pewno, przypatrz się dokładnie. Tyle było dni, co z nich dla siebie zabrałaś, co z siebie im na zawsze oddałaś. W jakie kołtuny pamięć zaplątałaś, gdzie utknęłaś, pogódź się z czasem, jest linią, zdarzenia atomami. A czy jak popłynę, to się sama w zdarzenie nie zamienię, gdzie będę cała, gdzie będę na stałe, przecież już teraz własnym czuję się złudzeniem. Przeczucie we mnie uderza, przetykam je powoli, a na kieszeni czuję nieznaczny wypukłość. Nic nie jest moje, nie chciej nic mieć, zrzuć ciężar nadmiaru – wolność mnie takiej z ziemi nie uniesie. W odrętwieniu odklejam od ust pasmo włosów i ręką od zimna jakby postarzałą wyciągam ukryte w płaszczu nożyczki. Pod Jego mroźnym spojrzeniem prowadzę nadgarstek, uciekają spod palców długie nitki włosów, rysują linie wiatru. Na miejsce chowam narzędzie, dłońmi badam głowę. Dałam włos każdy, powiedział: oddam, każdy policzony. Ruszam z miejsca znużonymi krokami, gniotę szczecinę traw, na głowy szczecinie czuję ból wbijanych obcasów. *Compassio*.

Bezsenność w białych pieleszach, miękko pod policzkiem, pachnie praniem, ściana w drewnie, śledzę wzrokiem jego liczne znamiona. Tak świeżo, lepkość snu mi powiek nie zamyka, co to za udręka, wstaję, niech się bardziej zmęczę.

Dlatego spełnię teraz tę fantazję: wyjdę na balkon, godzina trzecia w nocy, drewniane deski, Szwajcaria. Sztynny wyprany koc – zawinęłam się w niego sprytnie: stara to sztuka, niełatwa to sztuka, zapytaj Hansa, on ci wytłumaczy, będzie czarodziejsko. I na moich oczach ta mgła się odsuwa, widzę jak płynie, przed twarzą mi chmury przeplatują, popatrz, one duchy nie barany. Pozostały jeszcze trochę, jak pleśń na górach osiadły, ale poczekaj, zaraz się jakby w dym zamienią spokojny, prawie nieruchomy – powolne gdzieś płonę ogniska.

Teraz widzę czystą czarną górę, co się na czarnym niebie maluje, możesz mi nie wierzyć, bo ciemność z reguły bezkształtna, więc może zmyślam, nie wiem tego na pewno. I widzę nawet lub nie widzę wcale, że góra w drzewnym princie gęstym i równym. Ty też mnie Góro widzisz, nie próbuję się kryć, równie jak Ty jestem zastygła w majestacie milczenia: wzruszenia schłodziłam, osądy powściągnęłam, wzroku nie spuszczam, usta mi nie drżą.

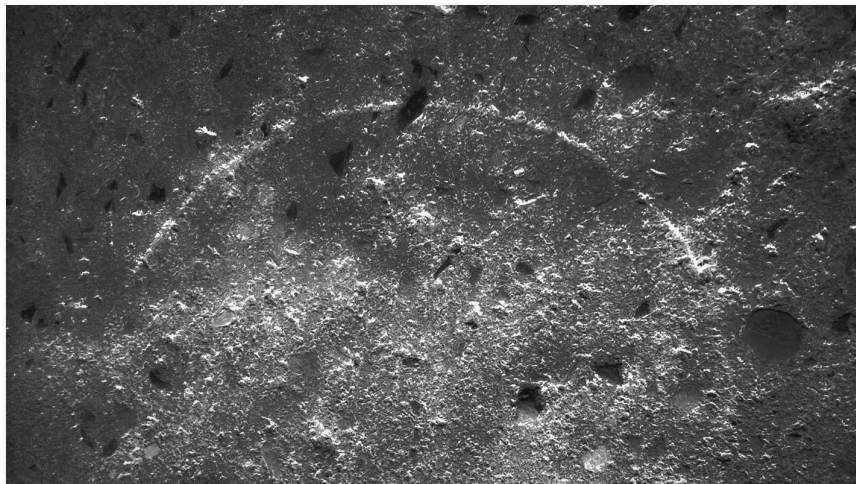
Co się teraz stało? Zakłócona beczynność krajobrazu, samochód wyraźny i biały sunie po przekątnej góry, wypuszcza przed siebie trapez żółtawego światła. Robaczku resoraczku, utoniesz prędko w oceanie góry, w bezczasie, w raz na zawsze ustalonym łożu, dokąd próbujesz drżyć tunele, nie ma stąd wyjścia. Zejdziesz wstrętne plamo

z tak pięknie skomponowanego obrazu! Czerni doświadczam w kwadracie; naszej abstrakcji twój sens niepotrzebny.

W chłodzie nocy Jesteś najmocniej. Tu pachnie kosmosem: wdycham przestrzeń, trwanie, widzę gwiazdy, może już dawno zgasły, może to światło z przeszłości przychodzi, a ja je wzrokiem z powrotem na niebo z martwych ustawiam. Wyjmuję, co zjadły własnym zapadnięte ciężarem, tę gęstość śmiertelną rozcieńczam, rozkładam po próżni.

W chłodzie nocy Jesteś najbliżej. Chmury jak góry przede mną wyrastają: nieskończoność zasłaniają, wieczność skracają.

Obudziły mnie krowy – grają na dzwoneczkach jak cyganki na tamburynach, mgła w nocy odeszła, chmury zostały różowe.



Mirosław Jurczuk, *Krąg*

Miasto przeżywa burzę

Czujesz? Nie. Granat się nad nami zbiera. Nie widzisz. Wszędzie wyrastają te wielkie bloków postaci. Granat się nad nami kłębi. Słyszysz? Jak cicho? To patrz na nas betonowe twarze. Czy czujesz już groźbę, stanęło powietrze. Kształty nad nami kłębiście.

Patrzysz w górę. Tak, niebo dziś ciężkie. Wczoraj, pamiętasz, zgadywałeś te baranie kształty. Brakuje powietrza, oddech masz płytki. Słyszysz: coraz niżej nad nami rzęzą szare płuca. Stukot obcasów, nasze kroki ciche, gumowe; ktoś tu jeszcze krąży poza nami. Bzyczą latarnie, a nasze urywane śmiechy. Bądź czujny – chodnik: w pęknięcia czerwień się wlała. Czy nie pięknie? Piękne płyną w nas farby, ktoś się tutaj na czerwono rozlał. Gdzie odchodzisz, popatrz na te krwi bohomyzy, dzisiaj zgadnij na chodniku nakapane obrazy.

Ściany kamienic mienią się wilgocią; gadzie miasto rozwija swój oślizgły jezor. Idziemy, jakby klaskaty, kałuże chlupią pod nogami. Inni dalej od nas w podróży do paszczy, on już włożył głowę. Nocne okienko szybko ją wypłuka, w dłoniach już migoczą butelki szklane, szklane szyby, kałuże szklane, razem od szkła odbijanym światłem. Idziemy, a flesze rozbłyskują za nami, plecy masz prostsze i kroki stawiasz dłuższe. Wąsko, teraz przechodzimy przez bramę. Ustawiają się wokół nas mury, kolorowy z nich sypie się tynk, kolorowy podnosi się pył. Popękane czytają się słowa, odrapane oglądają rysunki. Czujesz obecność tych, co tu przed nami? Usiądź, porozmawiaj z duchami.

Przylegam ustami do szkła. Zasysam, zogromniałe wargi oglądasz w butelkowej szyi, czy to wciąż ja. Gargantua. W łuk wyginam swoją bladą szyję, piękna, napięta. Więc obejmujesz ją dłońmi, kciuki stawiasz na gardle, śledzisz, jak przepływają te powolne tyki, czuję w sobie prąd. Przyciśnij mnie jeszcze do siebie, uspokój, proszę, to drżenie. I tak w jedności zastygamy, chwila ta w górę się unosi, jest już ponad miastem, przebiega chmury, wychodzi z atmosfery i zawisa w głuchej próżni, i tak już jest odtąd na zawsze, i sama o sobie świadczy, i już jej nie zaprzeczysz. Krok w tył i znowu oddzielnymi jesteśmy figurami i tylko twoja ręka się do mnie wyciąga. Papieros trzymasz mi w ustach i co mogłabym sama, wolisz robić za mnie. Nie rozumiem swojej uległości.

Ciasno pod smętnie wiszącymi chmurami, gdzie ta chłodna ponad nami wieczność. Tęsknimy w przestrzeni, dym zastania gwiazdy. Wtedy twój śmiech mnie ze spowolnienia wyrwa, gdzie ty, gdzie, chwila samotnej nieuwagi, a ty tam z innymi i zrywam się, i biegnę zaraz do twojej wesołości. W rozbiegu włosy trzepotem w dół, na przeszkodzie się

złamałam, fikołkami się kręcę wokół na osi barierce. Mam już teraz swoją grawitację, chodź na zawsze przykleić się do mnie.

Ciemność się mieni, ktoś w niej chyba tańczy. Rękami, nie rękami, zamiast rąk skrzydłami i słyszę muzykę. Gardło czyjeś suche – słyszę chrypiącą z gardła suchego muzykę. Głowa mi już płynie w tym kleistym powietrzu i widzę niewyraźnie, lecz z całą pewnością dwie ręce się do mnie zbliżają. Widzisz, dwie ręce się do mnie z ciemności wyłaniają. Tańczmy razem, kurz się wzbija, w tych obłokach my. Czy nie pięknie, na kurzu obłokach tańczymy razem my.

Siedzisz, jesteś taki blady. Wydobywam kwadraty twojej twarzy i koła, takie ostre kanty, kości policzkowe, czy znasz je w sobie. Zza twojej głowy na ciemnym fiolecie białe floresy widzę, elipsy, kratka, czy jesteś nimi, planety i gwiazdy, czy pamiętasz: wszechświat za plecami. Patrzysz na mnie, a ja tu jestem, chciałabym bardziej, próbuję. Rozpływam się i wchodzę w te ściany, jestem już podłogą, na stół się przelewam. Dyfuzja, pamiętasz to pojęcie z chemii, oglądaj mnie w smugach, oglądaj mnie w łunach.

W jakich ty dziwnych ustawieś się kreskach, gdzie tu je wyznaczyć. Fale ręką już w powietrzu rysuję, spłynąłeś zmęczony butelkową liturgią. Jedna twoja ręka pozuje mi w pionie wysoko i szkło, piana, leć do niej bąbelki. Wpatrzony hipnotycznie; trochę się boję: czy widzisz tam jaśniejsze od naszych twarze. W tej szklanicy-kulicy co byś chciał wyczytać, czy w niej mieszkają przestworza? Podnosisz do światła takie tu mętne, ale mieni, patrz, magicznie złoto w szkle i bursztyny. Oczy masz zamglone, czuję dostojność tej cichej adoracji, powiedz, co widzisz, Proroku. Ja widzę, jak się wiją dookoła ciasne labirynty, dokąd mnie prowadzisz.

Krakanie odbija się. Puls czuję w głowie. Proszę, przestań mnie dręczyć. Krakanie echem odbija się, krakanie od pełnego krakaniem porannego nieba. Wypęta poranek spod ziemi. Uderzają fale o skało-moją-głowę. Proszę, nie szarp mnie już. Czarne dzioby, szukaj trupów.